

KS. WOJCIECH PIKOR

SPOTKAĆ SIĘ W SŁOWIE

TOM 4

OKRES ZWYKŁY, 1.–9. TYDZIEŃ



WYDAWNICTWO
BERNARDINUM

2021

UZDROWIENIE Z GORĄCZKI, CZYLI Z CZEGO? MK 1,29-39

Jezus przychodzi do domu Piotra w Kafarnaum i tam uzdrawia jego teściową, a dokładniej – uwalnia ją od gorączki. I tu możemy pozwolić sobie na odczytanie tego zdarzenia na innym poziomie niż tylko jako prostego stwierdzenia, że Jezus uwolnił ją od gorączki. Gdyby tylko do tego sprowadzić tę scenę, to moglibyśmy powiedzieć, że Jezus zadziałał – proszę wybaczyć tę metaforę – jak tabletką na zabicie temperatury. Tymczasem dwie kwestie każą nam szukać głębszego znaczenia tego uzdrowienia. Raz, że gorączka sama w sobie nie jest chorobą, lecz tylko symptomem choroby, reakcją obronną organizmu na jakąś infekcję czy zakażenie. Jezus zatem uzdrawia teściową Piotra nie tyle z gorączki, co z tego, co ją spowodowało. Dwa, to uleczenie ma miejsce w pierwszym dniu działalności publicznej Jezusa; wcześniej Jezus nauczał w synagodze, w której też dokonał pierwszego egzorcyzmu (Mk 1,21-28). To jest wciąż ten pierwszy dzień, a więc wszystko, co Jezus mówi i czyni, ma znaczenie programowe dla Jego późniejszej działalności. Zatem uwolnienie kobiety od gorączki podaje nam pewien klucz do zrozumienia każdego kolejnego uzdrowienia dokonanego przez Jezusa.

Co kryje się za gorączką? Jeśli trzymać się logiki opowiadań o cudzie uzdrowienia, to na zakończenie pojawia się konkluzja, iż dana osoba została uwolniona od swojej choroby: niewidomy odzyskał wzrok, sparaliżowany zaczął chodzić itd. Podobna wzmianka jest w dzisiejszej Ewangelii, tyle że mówi ona coś więcej: „opuściła ją gorączka i usługiwała im” (1,31). Na płaszczyźnie duchowej możemy powiedzieć, że gorączka, która przykuła teściową Piotra do łóżka, nie

pozwalając jej na goszczenie Jezusa w domu, jest obrazem pewnego stanu wewnętrznego człowieka, skutkiem którego nie jest on zdolny do służenia drugiemu, miłowania go.

W tym samym domu Piotra będziemy później świadkami jeszcze innej „gorączki”; dotknie ona tym razem uczniów, którzy będą gorączkowo spirali się, kto z nich jest największy (9,33-34). W wymiarze duchowym gorączką, która pozbawia człowieka zdolności do służenia drugiemu, jest egoizm, chęć dominacji, pragnienie bycia pierwszym, wywyższanie się nad innych. To potrzebowało uzdrowienia, przynajmniej w przypadku uczniów Jezusa.

Czy tak było też z teściową? Tekst milczy, ale stwierdzenie łączące fakt uwolnienia od gorączki z możliwością służenia Jezusowi nie jest przypadkowy, zwłaszcza że posługa teściowej zostaje wyrażona czasownikiem *diakoneō*, którym Jezus posłużył się na określenie siebie samego jako Tego, który „nie przyszedł, aby Mu służyło, lecz żeby służyć” (10,45). Jezus „jest pośród swoich uczniów jako ten, kto służy” (Łk 22,27), co objawi się w pełni podczas ostatniej wieczerzy, gdy uklęknie przed swymi uczniami, by obmywać im nogi (J 13,12-17). Uzdrowiona z gorączki teściowa Piotra swoją postawą uosabia samego Jezusa, Jego miłość i służbę człowiekowi.

W czym zawiera się program działania Jezusa wobec człowieka? Zwróćmy uwagę na trzy czasowniki, które opisują czyn uzdrowienia teściowej Piotra przez Jezusa: Jezus „podszedł” do niej, „uchwycił za rękę” i „podniósł ją” (Mk 1,31), aby znowu odczytać wymiar duchowy tych trzech gestów Jezusa.

Po pierwsze, Jezus nie zachowuje dystansu społecznego – jak powiedzielibyśmy dzisiaj – ale przychodzi do nas, nie zatrzymuje się z daleka, lecz staje przy nas blisko, dotykając nas fizycznie. Ten, który jest Świętym Boga (por. 1,24), nie boi się naszego grzechu, naszej nieczystości, naszego wewnętrznego nieuporządkowania.

Po drugie, Jezus komunikuje się z nami nie tylko przez słowo, spojrzenie, ale też przez dotyk. Jest w tym dotyku niezwykła bliskość

JAKA JEDNOŚĆ W KOŚCIELE?

MK 3,13-19

Pytanie szerokie i otwarte, ale odwołujące się do dzisiejszej Ewangelii. Jesteśmy świadkami, jak Jezus powołuje grono dwunastu apostołów. Oni stanowią fundament, na którym Jezus buduje swój Kościół. Jedność tych Dwunastu jest nie tylko podstawą jedności Kościoła, ale i pewną podpowiedzią, jak przeżywać i budować jedność w Kościele.

Po pierwsze, jedność w różnorodności. Zestawienie imion dwunastu uczniów nie wynika tylko z kronikarskiego obowiązku. Dwunastu stanowi jedno, ale nie są jednakowi. Ewangelista podaje bliższą charakterystykę niektórych z nich, ale to już pozwala się zorientować, że każdy z nich jest inny w swojej historii, charakterze, poglądach, umiejętnościach, relacji z ludźmi i z samym Jezusem. Powracające między nimi spory ujawniają, że wielu z nich to urodzeni indywidualiści, przy czym nie są oni jacyś wyjątkowi pod względem wykształcenia, pozycji społecznej, postawy moralnej. W tej ostatniej kwestii można wręcz sądzić, że grono Dwunastu składa się z osób, z których każda ma konkretne problemy życiowe, osobowościowe i moralne. Nawet powołani, nawet będąc już apostołami, będą wciąż zmagali się ze swoimi słabościami, ambicjami, pokusami, grzechami. Można się tym gorszyć, ale taka jest rzeczywistość nie tylko Dwunastu, ale i całego Kościoła.

Po drugie, jedność w powołaniu. Ci różni ludzie nie spotkaliby się nigdy, nie zawiązaliby między sobą więzi, nie podjęliby się wspólnego działania, gdyby nie Jezus, który „przywołał do siebie tych, których sam chciał” (Mk 3,13). Tym, co ich jednoczy, jest słowo powołania, które Jezus w sposób wolny wypowiedział wobec każde-

go z nich. Oni muszą zaakceptować fakt, iż każdego z nich powołał Jezus, każdego z nich nazwał po imieniu, każdego z nich obdarzył tym samym słowem, mocą i władzą (3,14-15). Dopóki nie uznają, że łączy ich jedno powołanie w Chrystusie, będą między nimi spory o to, kto jest pierwszy, ważniejszy, lepszy. Tej optyki potrzebujemy dzisiaj w Kościele. U początków naszego spotkania ze sobą jest spotkanie każdego z nas z Jezusem. W punkcie wyjścia jest ten sam sakrament chrztu świętego. To myślenie jest potrzebne szczególnie wśród księży, i to nie tylko w relacji do tych osób, którym posługują w parafiach, ale też w relacji między sobą – trzeba odłożyć na bok swoje ambicje, przekonanie o swojej wielkości, przywiązanie do tytułów, by odkrywać wciąż to, co jest wspólnym obdarowaniem: sakrament święceń. Jedność między papieżem, biskupami i kapłanami jest podstawą jedności w Kościele. I nasze wspólne spojrzenie na „ustanowienie Dwunastu” przez Jezusa, dosłownie „uczynienie Dwunastu” (3,14.16), a nawet „stworzenie”, bo i tak możemy tłumaczyć czasownik *poieō*. To Jezus stwarza Dwunastu jako nierozdzielną jedność, na której będzie budował jedność swego Kościoła. Bez tej jedności z gronem Dwunastu i z ich następcami, biskupami na czele z biskupem Rzymu, nie będziemy jedno w Kościele.

Po trzecie, jedność w Chrystusie. Po co Jezus powołuje Dwunastu? Po co nas powołuje do wspólnoty Kościoła? „I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli” (3,14) – dosłownie czytamy: „aby z Nim byli”. Tym, co jednoczy Dwunastu, jest wspólne powołanie do „bycia z” Jezusem. Zarazem z tego „bycia z” Jezusem wynika ich jedność między sobą. Apostołowie są zjednoczeni ze sobą przez zjednoczenie z Jezusem. W Jezusie jest źródło ich jedności. Ich jedność z Jezusem jest przedłużeniem jedności Jezusa z Bogiem Ojcem, jest włączeniem w tę jedność, którą Bóg przeżywa sam w sobie. O taką właśnie jedność Kościoła prosił Jezus podczas ostatniej wieczerzy (J 17). O szczególnym wymiarze tej jedności z Jezusem mówił św. Paweł Filipianom, kiedy ich zachęcał, by „mieli to samo nasta-

wienie umysłu, które było w Jezusie Chrystusie” (Flp 2,5). „Być z” Jezusem to znaczy dzielić Jego pragnienia i uczucia, karmić się Jego słowem, przyjmować i jednoczyć się z Jego miłością w Eucharystii, patrzeć na siebie i innych Jego oczami. „Będąc z Nim”, będziemy dzielili te same uczucia i pragnienia, te same myśli i słowa, tę samą miłość i życie. Z tej jedności z Jezusem będzie rodziła się nasza jedność w myśleniu, mówieniu i działaniu, nasza jedność w Kościele.

KIEDY UMIERA W NAS ŻYCIE?

MK 6,14-29

Pytanie iście filozoficzne, ale dzisiejsza Ewangelia czyni je jak najbardziej egzystencjalnym. Jesteśmy świadkami śmierci męczeńskiej Jana Chrzciciela. Za jego ścięciem stoją konkretne osoby, nie tylko Herod, ale również jego konkubina Herodiada oraz jej nastoletnia córka Salome. Ginie Jan, ale co z życiem pozostałych postaci jego dramatu? Może tak naprawdę to one, zadając mu śmierć, zabijają w sobie życie?

Czym żyje Herodiada? Czym się karmi w swoim życiu? Nienawiścią, zawziętością, chęcią rewanżu. Od strony moralnej, w świetle prawa Bożego, sprawa jest klarowna, co Jan stanowczo mówi Herodowi: „Nie wolno ci mieć żony twego brata” (Mk 6,18). Herodiada nie chce uznać prawdy o sobie, woli zniszczyć głos, który jest dla niej wyrzutem sumienia. Swoje życie podporządkowuje temu jednemu celowi: doprowadzić do śmierci Jana. Wciąż naciska na Heroda, ale bezskutecznie (6,19). Czeką więc cierpliwie na sposobną chwilę, mając już gotowy plan działania (6,21). By go zrealizować, nie zawaha się poświęcić życia swojej nastoletniej córki, czyniąc ją *de facto* narzędziem swojej zbrodni (6,24).

Czym żyje Herod? Czym karmi swoje życie? Pożądliwością, namiętnościami, pychą. Jak inaczej wytłumaczyć jego związek z Herodiadą, żoną jego brata Filipa (6,17)? Herodiada cały czas rozgrywa Herodem, mając świadomość jego wrażliwości na kobiece piękno. Pewnie sama uwiodła go wcześniej. Pewnie też dzięki swemu urokowi skłoniła Heroda do wtrącenia Jana do więzienia. Kiedy nie może nic więcej osiągnąć sama, posyła do boju swoją

córkę, którą wystawia niczym prostytutkę, by swoim tańcem, zmysłowością i powabem ciała podbiła serce Heroda (6,22). W tamtych bowiem czasach podczas uczt w domach książąt towarzystwo zabawiały swoim tańcem nierządnice, a nie dziewczyna szlachetnie urodzona, do tego przysposobiona córka króla. Ten traci głowę dla Salome. Co dochodzi w nim do głosu? Nie tylko pożądliwość, ale też męska próżność czy poczucie absolutnej władzy, bo jak inaczej wytłumaczyć przysięgę ofiarowania Salome nawet połowy swego królestwa (6,23). Kiedy ta zażąda głowy Jana Chrzciciela, Herod wprowadzie „bardzo się zasmuci”, ale w swojej pysze nie wycofa się z absurdalnej, bezwarunkowej obietnicy (6,26). Ta pycha w istocie jest głupotą i tchórzostwem.

Czym żyje córka Herodiady? Czym karmi swoje życie? Jest w niej jakieś podobieństwo do matki w wykorzystywaniu swojego ciała, powabu, piękna. Na pierwszy rzut oka to naiwna dziewczyna zmanipulowana przez matkę. Ale jej prośba o głowę Jana Chrzciciela mówi o niej bardzo wiele. „Chcę, żebyś mi zaraz dał” (6,15) – ona żąda, narzuca swoją wolę, wymusza; nie zna słowa „nie”, nie jest przyzwyczajona do odmowy; musi być tak, jak ona chce. Przychodzi myśl o dziecku jako „małym tyranie”. Jest jednak coś więcej. Salome prośbę matki czyni swoją, przewyższając ją wręcz w okrucieństwie, gdy dodaje do niej słowa: „zaraz [...] na misie” (6,15). Jakby chciała mieć pewność, że Herod nie zdąży zmienić zdania, nie zreflektuje się i nie pójdzie za głosem rozsądku.

Tytułowe pytanie brzmiało: Kiedy tracimy swoje życie? Męczeństwo Jana Chrzciciela daje zaskakujące odpowiedzi. Można żyć, a tak naprawdę nie żyć. Można stracić życie, a tak naprawdę żyć dalej. Pytanie tylko, czym karmimy nasze życie, co jest treścią naszego życia, w czym upatrujemy jego sens.

NIECHCIANY CUD? MK 2,1-12

Dzisiejsza Ewangelia w Biblii Tysiąclecia otrzymuje tytuł *Uzdrowienie paralityka*. Rzecz jednak w tym, że pierwszym czynem Jezusa jest odpuszczenie grzechów paralitykowi, co mógł uczynić tylko Bóg. Przebaczenie grzechów, o które nikt nie prosił, którego nikt nie oczekiwał ani nie pragnął. Uzdrawienie ciała paralityka jest wtórne i służy tylko potwierdzeniu, iż „Syn Człowieczy ma na ziemi władzę odpuszczania grzechów” (Mk 2,10). Co ta historia mówi o nas samych, o naszych relacjach z innymi ludźmi i wreszcie o naszej relacji z Jezusem?

Najpierw my sami. Jesteśmy nie tylko ciałem, ale jest w nas również życie duchowe, psychiczne. Paraliż może dotknąć nie tylko ciało, ale również ducha. „Martwe” mogą być nie tylko kończyny, ale również serce. Wyjście ku drugiemu, również ku Bogu, warunkowane jest nie tylko stanem naszych nóg, ale zależy również od spojrzenia, wrażliwości, empatii, pragnienia. Bezruch w naszym życiu może mieć głębsze przyczyny niż tylko problemy z ciałem. Stąd konieczność troski nie tylko o stronę fizyczną egzystencji, ale również duchową, psychiczną, uczuciową.

To w naturalny sposób stawia nas wobec pytania o nasze relacje z innymi ludźmi. W dzisiejszej Ewangelii paralytyk jest przedmiotem działania innych osób, najpierw czterech przyjaciół, którzy przynoszą go na noszach do Jezusa (2,3-4), a później samego Jezusa, który uzdrawia go wewnątrz i zewnątrz. Kluczową rolę odgrywają czterej przyjaciele, co podkreśla ewangelista zdaniem: „Jezus widząc ich wiarę” (2,5). Jezus widzi nie tylko ich wiarę. Dostrzega miłość, która każe im zająć się chorym przyjacielem i przynieść

go do Jezusa. Widzi ich determinację w sytuacji, gdy jedynym sposobem dotarcia do Jezusa było spuszczenie łoża z chorym przez dach domu, w którym Jezus przebywał otoczony tłumem ludzi. Jest w tym ich kreatywność, która pozwala im znaleźć niestandardowy sposób na dotarcie z paralitykiem do Jezusa, nawet za cenę pewnych kosztów, które mogli ponieść z powodu konieczności naprawienia dachu. W paralityku nie widzimy tej wiary, miłości, kreatywności i determinacji. Ale to wszystko motywuje jego czterech przyjaciół. Nie wzięli się oni znikąd. Być może poprosił ich o pomoc paralytyk. A może sami ruszyli mu na pomoc, doświadczwszy wcześniej, gdy był zdrowy, jego przyjaźni, wsparcia, miłości. Może on na nich liczyć, dlatego że sam był dla nich podporą.

Wreszcie nasza relacja z Jezusem. Nie słyszymy żadnego słowa wypowiedzianego przez paralityka, nie jesteśmy świadkami żadnego gestu uczynionego przez Jezusa. To, że paralytyk „nie czuje” Jezusa, nie oznacza, że Jezus go nie dostrzega i nie ogarnia go swoją troską. Jezus widzi więcej niż przyjaciele chorego, którzy przynosząc go do Jezusa, oczekują uzdrowienia jego ciała. Tymczasem Jezus odpuszcza mu grzechy (2,5), gdyż to one są prawdziwym paraliżem, który oddziela człowieka od Boga i nie pozwala mu podążać za Jezusem. Przywraca go do wspólnoty z Bogiem, zwracając się do niego słowem „dziecko” (2,5), konotującym w sobie uczucie miłości, serdeczności i troski. Uzdrawiając jego ciało, Jezus wyzwala go z bycia przedmiotem oddziaływania innych osób i czyni go na powrót podmiotem zdolnym „wstać, wziąć swoje łożo i iść do domu” (2,12). Nie chodzi tylko o zdolność chodzenia, ale bardziej o budowanie relacji z innymi, których obrazem jest dom. Doświadczwszy miłości Boga, uzdrowiony paralytyk ma sam być miłością dla innych. Łoże, które dotąd mu służyło, ma służyć innym, będąc zarazem przypomnieniem o miłości doświadczanej ze strony przyjaciół.

Chciałoby się powiedzieć: „Daj, Boże, więcej takich nieoczekiwanych cudów w naszym życiu!”. A gdyby właśnie o taki cud poprosić dzisiaj Jezusa...

DLACZEGO EUCHARYSTIA?

J 6,51-58

Dlaczego Eucharystia w naszym życiu? Dlaczego mamy karmić się Eucharystią? Dlaczego mamy uczestniczyć w Eucharystii? Na tak postawione pytania każdy z nas musi dać swoją własną odpowiedź. Bo nie chodzi o udział w Eucharystii tylko dlatego, że jest takie przykazanie kościelne, albo dlatego, że biskup zniósł już dyspensę od udziału we Mszy Świętej⁶⁴. Dzisiejsza Ewangelia doprowadza nas pod jedną z możliwych odpowiedzi, kto wie, czy nie najważniejszą, bo wypowiedzianą przez Jezusa po rozmnożeniu chleba pod Kafarnaum.

Jezus mówi o sobie jako „chlebie żywym, który zstąpił z nieba”. Tym chlebem jest „Jego ciało wydane za życie świata” (J 6,51). I tu zaczyna się problemów Żydów, a być może i nasz, z Eucharystią, bo rodzi się pytanie: „Jak On może nam dać swoje ciało do jedzenia?” (6,52). Co to znaczy, że Jezus daje nam swoje ciało do jedzenia, swoją krew do picia? Kiedy mówimy „ciało i krew”, jesteśmy w pewnym stopniu obciążeni filozofią grecką, platońską, która rozdziela człowieka na części składowe, separując od siebie nie tylko elementy materialne składające się na ciało człowieka, ale również oddzielając od siebie to wszystko, co buduje człowieka w jego wymiarze psychofizycznym, a więc ciało, duszę i ducha. Tymczasem dla Jezusa, który jest Żydem, mówienie o ciele (dosłownie „mięsie”,

⁶⁴ Tekst został napisany 11 czerwca 2020 roku po pierwszej fali pandemii koronawirusa w Polsce. 27 maja 2020 roku rząd polski zniósł limit uczestników zgromadzeń religijnych w świątyniach, w związku z czym poszczególni biskupi odwoływali ogólną dyspensę od obowiązku uczestnictwa w niedzielnej Eucharystii udzieloną w marcu 2020 roku.

bo to znaczy grecki termin *sarks*), o krwi czy o duchu, jest zawsze mówieniem o jakimś aspekcie życia człowieka, które jest jednak rozumiane jako całość. Kiedy Jezus mówi „moje ciało”, to ma na myśli całe swoje życie. Kiedy mówi „moja krew”, to odnosi się do całego swojego życia.

Owszem, każde z tych dwóch określeń zwraca uwagę na jakiś aspekt ludzkiego życia. „Mięso-ciało” na jego cielesność, na jego fizyczność. Bóg stał się człowiekiem poprzez ciało, w ciele człowieka. Jezus staje się jedno z nami poprzez doświadczenie ciała, także przez jego kruchość i przemijalność. Jezus wiąże się z nami poprzez to wszystko, co wpisuje się w historię człowieka pisaną jego ciałem – z naszymi radościami, smutkami, bólami, cierpieniem, ale też radością, zadowoleniem, poczuciem szczęścia, które towarzyszą człowiekowi przez całe jego życie od narodzenia do śmierci. Ciało Jezusa to zatem także wydarzenia, które składają się na Jego życie – wystarczy wziąć Ewangelię, by dotknąć konkretnych wydarzeń z życia Jezusa. One są wpisane w Jego ciało, które daje nam do spożycia. Karmimy się całym życiem Jezusa, każdą cząstką Jego życia, każdym Jego pragnieniem, uczuciem, każdym zdarzeniem, które budowało historię Jego życia, każdym spotkaniem, słowem, karmimy się miłością Jezusa, która była Jego życiem.

Podobnie z krwią – kiedy Jezus mówi o „picu swojej krwi”, to ma na myśli kosztowanie całego swojego życia, ale znowu w konkretnym jego aspekcie. Tym razem śmierci. Krew jest życiem, jest nośnikiem życia; we krwi jest życie – to było wspólne przekonanie Żydów. Polecając „pić swoją krew”, Jezus przywołuje kluczowe wydarzenie ze swojego życia: śmierć na krzyżu. To jest ten moment, kiedy Jezus „łamie” swoje ciało dla nas, kiedy „przelewa” krew dla nas, spełniając wolę Ojca, wypełniając pragnienie nie tylko Ojca, także swoje, „umiłowania świata” (3,16), „umiłowania swoich, którzy są na świecie, do końca” (13,1). Krew jest daniem Życia, które stało się przez śmierć na krzyżu, jest obdarowaniem Miłością ukrzyżowaną.

Nasze życie staje się przez życie Jezusa. Tak trzeba nam rozumieć Eucharystię. Karmiąc się Jezusem w Eucharystii, przyjmujemy Jego życie, mamy Jego życie w sobie. Nie chodzi o jeszcze jeden pokarm, który podtrzymuje nasze życie w jego fizyczności. Stawką jest życie przeżywane w relacji z Bogiem i człowiekiem, życie, które jest świadomością tego, kim jestem i ku czemu zmierzam. Eucharystia to sprawa życia i śmierci. Warto uświadomić sobie, z jakim życiem przychodzimy do Jezusa, by to Jego życie nas przemieniało, uzdrawiało, umacniało, nadawało smak naszemu życiu. Nie zawsze jesteśmy podczas Eucharystii radośni, pogodni. Czasami nasze życie, z którym przychodzimy na Eucharystię, jest naznaczone bólem i cierpieniem. Przyjmując w Komunii Świętej ciało Jezusa, oddajemy mu swoje ciało, by w Jezusie, w Jego miłości zostało ono przemienione, uzdrowione, umocnione. Jezus staje się naszym życiem, pragnieniem, miłością. Jezus wchodzi we wszystkie sfery, momenty naszego życia, gdy nie mamy już siły, nie mamy już miłości, nie mamy już woli i uczucia. Jego uczucia, pragnienia, miłość, życie stają się nasze. Żyjemy Chrystusem. „Już nie ja żyję, ale żyje we mnie Chrystus” (Ga 2,20). Po co? Byśmy stawali się pokarmem, ciałem, krwią dla innych. Byśmy ofiarowywali siebie innym, a w istocie Jezusa, by inni mogli też doświadczyć życia. To jest Eucharystia, którą Jezus sprawuje w nas, przez nas.

Dlaczego Eucharystia w naszym życiu? Czy tylko dlatego, że takie jest przykazanie czy dekret biskupa? Eucharystia to rzeczywiście sprawa życia i śmierci, mojego życia i mojej śmierci.

CZEGO UCZY NAS EUCHARYSTIA?

ŁK 9,11B-17

Na tytułowe pytanie nie ma jednej wyczerpującej odpowiedzi. Chociażby z tego powodu, że każdy z nas, kto przystępuje do stołu Eucharystii, ma swoje własne, osobiste doświadczenie spotkania z Jezusem we Mszy Świętej. Tym bardziej warto szukać wciąż na nowo odpowiedzi na pytanie o wartość Eucharystii w naszym życiu, by stawało się ono coraz bardziej eucharystyczne. Tak jak było to udziałem uczniów w dzisiejszej Ewangelii, która opowiada o cudownym rozmnożeniu chleba na pustkowiu. Słowa i gesty Jezusa są jak najbardziej „eucharystyczne”, gdyż sekwencja czasowników „wziął, pobłogosławił, połamał i dawał” (Łk 9,16) występuje w opowiadaniu o ustanowieniu Eucharystii w Ewangelii Marka (Mk 14,22) i częściowo Łukasza (w Łk 22,19 miejsce „błogosławieństwa” zajmuje „dziękczynienie”). Jaką zatem lekcję możemy wyciągnąć z dzisiejszej Ewangelii?

Po pierwsze, realizm może zabijać miłość. Przez uczniów przemawia realizm. Zapada wieczór, pustkowie, a wokół Jezusa potężny tłum. Uczniowie widzą, że ludzie są utrudzeni i głodni. Z ludzkiego punktu widzenia uczniowie nie są w stanie zaradzić ich potrzebom (9,13). Prowiant, który mają przy sobie, to zaledwie pięć chlebów i dwie ryby, co z ledwością wystarczy na jeden posiłek dla nich samych i Jezusa (9,13). Mają przy sobie jakieś pieniądze – Marek i podobnie Jan podają, że było to dwieście denarów (por. Mk 6,37; J 6,7) – ale wykorzystanie ich na pustkowiu jest niemożliwe. Kiedy zatem sugerują Jezusowi, by odprawił tłumy do okolicznych wsi, gdzie znajdą żywność (Łk 9,12), przemawia przez nich realizm.

Ten realizm jest jednak zabójczy dla ich serc, wrażliwości i miłości. W istocie są skupieni na sobie, swoim komforcie, potrzebach, dobru. Jeśli widzą głodnych, to próbują przerzucić problem na Jezusa, który jakby sam sprowokował tę sytuację, ciągnąc za sobą ludzi na pustkowiu. Jezus z nimi nie dyskutuje, tylko wydaje polecenie: „Wy dajcie im jeść!” (9,13). Dywagacje, kalkulacje i dyskusje nie nakarmią głodnych i utrudzonych. Miłość potrzebuje konkretnych gestów, a nie samych tylko słów.

Po drugie, miłość potrzebuje dzielenia. Uczniowie sądzą, że są samowystarczalni, bo mają dla siebie konieczne pożywienie i pieniądze odłożone na czarną godzinę. Tymczasem to wszystko otrzymali od innych ludzi, których spotkali, głosząc Ewangelię (por. 9,10). Sami doświadczyli życzliwości, troski i miłości ze strony innych. Brakuje im świadomości bycia obdarowanymi, bez czego nie ma otwarcia się na innych, odkrycia siebie jako daru, nawet jeśli wydaje się on skromny, niewielki i niewystarczający. Wszystko zmienia moment dzielenia się. Miłość pomnaża to, czym dzielimy się z drugim. Dzielone wraca pomnożone. Ten cud staje się na ich oczach dzięki Jezusowi, który bierze chleb, a więc ich życie, i łamie go, by przez ich ręce dawać go ludziom. Oto potęgą Bożej miłości, która błogosławi i pomnaża ludzką miłość.

Po trzecie, miłość szuka oparcia w Bogu. Uczy tego swoich uczniów sam Jezus, który wzięwszy od uczniów chleb i ryby, „spojrzał w niebo”, po czym dopiero odmówił nad nimi błogosławieństwo, połamał i dawał uczniom, a oni dalej tłumom (9,16). „Spojrzenie w niebo” jest gestem modlitewnym, którym Jezus zwraca się do swego Ojca (por. J 11,41; 17,1). Jest to spojrzenie Syna, który z ufnością zawierza się Ojcu, by w jedności z Nim i zgodnie z Jego wolą obdarować ludzi pożywieniem. W tym spojrzeniu Jezusa można dostrzec Jego słowa z *Modlitwy Pańskiej*, w której razem ze swoimi uczniami prosi Ojca niebieskiego o chleb powszedni (Łk 11,3). Tymczasem Ojciec daje więcej, niż się spodziewamy, właśnie w Eucharystii,

którą jest Jezus – „prawdziwy chleb z nieba, który dał nam Ojciec” (J 6,32).

Czego uczy nas Eucharystia? Niech to pytanie pozostanie otwarte, ale też niech znajdzie odpowiedź w naszym życiu eucharystycznym, które odkrywamy w dzisiejszej Ewangelii.